



PRZYPADKI  
ROBINSONA I CRUSOE  
DANIEL DEFOE





PRZYPADKI  
ROBINSONA CRUSOE  
DANIEL DEFOE

 SAGA  
EGMONT

Daniel Defoe

# Przypadki Robinsona Crusoe

Tłumaczenie Franciszek Mirandola

Saga

*Przypadki Robinsona Crusoe*

Tłumaczenie Franciszek Mirandola

Tytuł oryginału *Robinson Crusoe*

Język oryginału angielski

Copyright © 1719, 2021 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728131381

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*— Skłonność podróżnicza Robinsona. — Zostań w kraju i odżywiaj się należycie. — Nieposłuszeństwo i skrucha Robinsona. — Jego lekkomyślność. — Burza i rozbicie okrętu. — Robinson zostaje właścicielem plantacji.*

Urodziłem się roku Pańskiego 1632, w angielskim mieście Jorku. Mimo to mógłbym się niemal zwać Niemcem, albowiem ojciec mój pochodził z Bremy i w późnym dopiero wieku osiadł w Anglii.

Matka moja, Angielka, nosiła rodowe nazwisko Robinson, ja zaś, obyczajem angielskim, otrzymałem je przy chrzcie św. za imię. Ojciec mój zwał się Kreutzner, przeto i ja byłem właściwie Robinsonem Kreutznerem, ale Anglicy, nie mogąc nigdy wymówić tego wyrazu niemieckiego, zwali mego ojca: Mister Crusoe, tak że w końcu cała rodzina przybrała to nazwisko.

W ten sposób zostałem ostatecznie Robinsonem Crusoe.

Rodzice moi mieli oprócz mnie jeszcze dwóch synów i jedną córkę. Najstarszy służył jako oficer w jednym z angielskich pułków i zginął pod Dunkierką w bitwie z Hiszpanami. Młodszy brat mój wyruszył na obczyznę i przepadł bez wieści.

Mnie, najmłodszego, rodzice starali się jak najdłużej zatrzymać w domu. Ojciec mój był kupcem, ale na starość wycofał się z interesów, a chcąc ze mnie zrobić uczonego, dał mi wykształcenie, jakie tylko osiągnąć było można w naszym mieście. Jednakże nauka nie nęciła mnie wcale.

Przeciwnie, rad bym był ruszyć w szeroki świat, napatrzeć się ludziom i krajom oraz zaznać wszelakich przygód.

Te moje plany i marzenia sprawiały dużo przykrości ojcu. Był to człek mądry i rozważny, i wiedział lepiej niż ja sam, co dla mnie najlepsze.

Pewnego dnia wezwał mnie do siebie i rzekł łagodnie i życzliwie:

„Drogi synu, skądże ci się biorą te myśli i dążenia awanturnicze? Czyż mam i ciebie utracić, jak utraciłem braci twoich? Zostań w domu, gdzie ja i matka troszczymy się o ciebie, gdzie masz przyjaciół i znajomych, gotowych do wszelkiej pomocy, którzy cię poprą niezawodnie, gdy raz już obierzesz jakiś zawód, ku własnej korzyści i zaszczytowi oraz ku pożytkowi społeczeństwa i pociesze rodziny. Szczęścia na obczyźnie szukają ci tylko, którzy niczego nie spodziewają się w ojczyźnie albo stracili dobrą opinię u ludzi. Przyznaję, że czasem przedsiębiorczość ducha wygania w szeroki świat młodzieńca, któremu na zagonie rodzinnym za ciasno, i młodzieniec taki ziszcza nieraz ambitne plany swoje. Ale to rzeczy nie dla ciebie, mój synu. Przeznaczeniem twym jest pozostać na szerokim gościńcu życia, który najpewniej wiedzie do szczęścia. Pozostań tedy w kraju i odżywiaj się należycie. Jeśli już nie zostaniesz uczonym, to masz dosyć zdolności, aby być dobrym kupcem, bo chyba nie uznajesz stanu ojca, stanu kupieckiego, za zbyt niski dla siebie”.

Tymi i innymi jeszcze słowy przemawiał do mnie ojciec, ja zaś nabrałem przekonania, że ma słuszność i postanowiłem usłuchać go. Ale po kilku już dniach wrażenie nauk ojca pierzchło i jałem na nowo snuć marzenia unoszące mnie daleko za lądy i morza, ku tajemniczym i nęcącym dalom świata.

Skorzystawszy z wyjątkowo serdecznej chwili, podczas rozmowy z matką, powiedziałem jej, że nie mogę w żaden

sposób opędzić się myśli wyruszenia na morze, że zakaz ojca uczynił mnie nieszczęśliwym, a pokusa może nawet sprawić, że wyjadę bez jego zezwolenia. Dodałem, że mając lat osiemnaście za stary już jestem, by wstąpić do praktyki kupieckiej, że zaś uczonym nie zostanę, przeto najlepiej będzie jeśli powolny swej skłonności ruszę w drogę.

Prosiłem matkę, by mi wyrobiła u ojca zezwolenie na małą próbną podróż. Jeśli pierwsza wyprawa na morze nie ziści moich nadziei, to zrezygnuję z dalszych, wrócę do domu i zdwojoną pilnością nagrodzę czas stracony.

Ale matka zapatrywała się na sprawę tak samo jak ojciec i z całą powagą odmówiła swego wstawiennictwa. Mimo to powtórzyła potem ojcu me słowa, ja zaś usłyszałem, jak odrzekł wzdychając ciężko:

„Nieszczęsny to chłopiec! Mógłby być tak szczęśliwy, zostając z nami. Gdy ruszy w podróż, zostanie najędzniejszym pod słońcem stworzeniem... Nie, za nic na to nie zezwolę!”

Minął znowu rok. Ojciec i matka nalegali, bym obrał jakiś określony zawód, ja jednak głuchy byłem na ich serdeczne napomnienia i wreszcie zawrzałem gniewem z powodu tego oporu przeciw mojej woli.

Pewnego dnia podjąłem małą wycieczkę do miasta portowego Hull, odległego parę tylko mil od Jorku. Tu spacerowałem po przystani, tęsknie spoglądając na rozliczne małe i wielkie okręty przybyłe z obcych krajów lub sposobujące się do odjazdu w świat daleki. Wszędzie powiewały flagi różnobarwne, a ogorzali marynarze pracowali, śpiewając.

— Ach! — westchnąłem. — Czemuż ja tego samego uczynić nie mogę! Ach, czemuż mi nie wolno ruszyć w radosny, słoneczny świat!

Nagle czyjaś dłoń spoczęła mi na ramieniu, a obejrawszy się ujrzałem kolegę szkolnego tuż przy sobie.

Pozdrowił mnie serdecznie, spytał, co robię w Hull i powiedział, że okręt jego ojca stoi tu na kotwicy, nazajutrz zaś rusza do Londynu. Znając jeszcze ze szkoły me skłonności marynarskie zaproponował, bym siadł na ich okręt i wraz z nim odbył tę podróż, która nic mnie kosztować nie będzie.

Pokusie tej oprzeć się nie byłem w stanie.

Nie myśląc o rodzicach, nie zawiadamiając ich nawet o zamiarze, nie bacząc zgoła na skutki tego nierozsądnego, lekkomyślnego i buntowniczego postępku, wsiadłem dnia 1 września na odpływający do Londynu okręt.

Zaprawdę, nigdy chyba wcześniej nie zaczęła się niedola młodego awanturnika i nie trwała dłużej od mojej.

Zaledwie okręt wypłynął z rzeki Humbera i znalazł się na pełnym morzu, zaczął dąć gwałtowny wicher, wzburzający morze do głębi. Niebawem zapadłem ciężko na morską chorobę, a jednocześnie ogarnął mnie wielki strach.

Poznałem teraz całą szkaradę mego postępku i powiedziałem sobie, że opuszczając potajemnie i niewdzięcznie rodziców, w pełni zasługuję na najcięższą karę nieba. Wspomniałem wszystkie ich prośby i napomnienia, a wyrzuty sumienia dręczyły mnie na równi z chorobą.

Ile razy nadpływała zielona, pienista fala, sądziłem, że pochłonie okręt, a ilekroć zjeżdżaliśmy z grzbietu bałwana w głąb, pewny byłem śmierci w tej otchłani. Byłem nowicjuszem i nie miałem wyobrażenia o tym wszystkim.

Targany rozpaczą uczyniłem ślub, że nie dotknę już stopą pokładu, jeśli Bóg pozwoli mi dostać się szczęśliwie na ląd stały, że wrócę co prędzej do ojca i uczynię wszystko, co rozkaże. Teraz poznałem, że szeroki gościniec życia, którym zawsze kroczył, to droga najlepsza, najpewniejsza. O ile mogłem zapamiętać, ojciec wiódł zawsze żywot wygodny, miły i nie był nigdy narażony na burze. Dostawszy się na



ląd, powrócę, myślałem, niezwłocznie do domu niby syn marnotrawny, o którym wspomina Biblia.

Te rozsądne myśli trwały jednakże tylko tak długo, jak długo huczała burza. Dnia następnego wróciła pogoda, wiatr ustał, a wieczór nastał cichy i piękny. Morze lśniło, zagle ledwo wzdymał lekki wiatr, a zachód słońca był tak cudny, że nigdy chyba nie widziałem podobnego.

— Jak się czujesz, Robinsonie? — spytał mnie kolega szkolny widząc, że wychodzę na pokład. — Już ci lepiej... nieprawdaż? Pewnie bałeś się trochę, gdyśmy tej nocy mieli pełno wiatru w czapce?

— Wiatru w czapce? — zdziwiłem się. — Co mówisz? Wszak to był straszliwy orkan!

— Orkan? Ha... ha... mój drogi, orkan wygląda całkiem inaczej. Mając dobry statek pod nogami i należytą przestrzeń w koło siebie, nic sobie nie robimy z takiego wietrzyku. Zaraz widać, że jesteś szczurem lądowym. Chodźże, łykniemy sobie po jednym, a zaraz o wszystkim zapomnisz.

Usłuchałem go i w istocie niebawem zapomniałem przy szklance nie tylko o przebytych przygodach, ale także o wszystkich dobrych postanowieniach.

Przez następnych pięć dni panowała pogoda, a życie na pokładzie podobało mi się niezmiernie. Ale Opatrzność miała dla mnie jedną jeszcze próbę i to tak straszliwą, że najbardziej zatwardziały zbrodniarz nie mógłby lekceważyć jej doniosłości oraz cudowności ocalenia z pewnej już zatury.

Szóstego dnia podróży stanęliśmy na kotwicy w przystani Yarmouth. Od czasu owej burzy wiatr był za słaby lub też przeciwny, a i teraz wiał od tygodnia z południowego zachodu, tak że nie dało się wpłynąć w koryto Tamizy. W przystani zebrało się dużo jeszcze innych statków, a

wszystkie czekały na wiatr pomyślny, by dotrzeć do Londynu.

Po kilku dniach powiało istotnie raźniej, a potem nawet silnie. Ale przystań w Yarmouth miała sławę bezpieczeństwa, a nasza lina kotwiczna była nowa, przeto załoga nie zwracała uwagi na pomyślny wiatr i spędzała czas na próżnowaniu i wesołej zabawie, gdyż w czasie takiego stanu pogody ustaje zazwyczaj praca na okręcie.

Ósmego jednak dnia wichur wzrósł tak dalece w siłę, że zwołano całą załogę, by zdjąć na pokład sztangi, jak zwą się przedłużenia dolne masztów, w celu zmniejszenia kołysania statku. Około południa fala była taka, że okręt zapadał rufą głęboko, a ogromne masy wody przelewały się po pokładzie. Kapitana ogarnął niepokój, czy aby skutkiem tego nie pęknie lina kotwiczna, kazał więc spuścić drugą kotwicę.

Burza rosła z każdą chwilą, a ja spostrzegłem strach i niepokój na twarzach załogi. Kapitan nie mógł usiedzieć w kajucie, biegał tu i tam z największą starannością, czyniąc wszystko, co mogło ocalić statek, ale miał słabą bardzo nadzieję.

— Niech nas Bóg chroni! — mruknął, przebiegając koło mojej kabiny. — Jesteśmy zgubieni!

Ległem cicho na posłaniu. Nie sposób opisać, co się ze mną działo. Sądziłem, że przetrwał co najgorsze, a tu słowa kapitana przejęły mnie strachem śmiertelnym. Po chwili wyszedłem na pokład i rozejrzałem się. Boże wielki, cóż za widok uderzył me oczy! Bałwany wielkości ogromnych gór toczyły się ze wszystkich stron, a co kilka minut jeden z nich walił z hukiem gromu na nasz pokład. W chwilach, kiedy mogłem dostrzec coś poprzez rozpryskującą się wodę, widziałem nieopisane zniszczenie. Mnóstwo okrętów miało teraz odrąbane maszty, niektóre zerwały się z kotwic i pędziły bez ratunku w stronę pełnego

morza, zaś ze słów naszej załogi wywnioskowałem, że stojący tuż obok nas statek zatonął z całą załogą i ładunkiem.

Wieczorem przyszli do kapitana sternik i pilot i poprosili o pozwolenie ścięcia masztu przedniego. Nie chciał on się zrazu zgodzić, ale uległ w końcu przedstawieniom pilota. Odrąbano maszt przedni, ale przez to został tak dalece osłabiony maszt główny, że go także odrąbać musiano.

Trudno opisać stan nasz. Mimo że upłynęło od dnia tego lat wiele, pamiętam, iż myśl o sprzeniewierzeniu się mym dobrym postanowieniom dręczyła mnie wówczas więcej, niż obawa śmierci.

Nie przypuszczałem, by burza miała wzrosnąć jeszcze, a jednak tak się stało. Czegoś podobnego nie pamiętali najstarsi marynarze naszej załogi.

Okręt nasz był doskonale i silnie zbudowany, ale ładunek jego, nader ciężki, budził obawę, że możemy lada chwila zatonać. Kapitan i pilot, oraz kilku maszynistów uczynili teraz coś, co się rzadko zdarza na statku, mianowicie, zaczęli gorąco błagać Boga o ocalenie.

Około północy rozeszła się wieść, że statek ma dziurę i pod pokładem woda dosięga czterech stóp. Wszyscy ruszyli do pomp, a ja doznałem takiego wstrząsu, że padłem na posłanie wespół omdlały. Ale przywrócono mi rychło przytomność, mówiąc, że dotąd mogłem nie brać się do żadnej roboty, teraz jednakże muszę pompować jak każdy, co pewnie potrafię. Poszedłem tedy na pokład i jąłem pompować co sił. Podczas tej pracy kazał kapitan dać strzał armatni. Był to sygnał ostrzegawczy dla kilku okrętów węglowych, które przeciąwszy liny kotwiczne starały się dostać na pełne morze i nie dość szybko robiły nam miejsce wolne. Nie wiedząc co to znaczy, pomyślałem po strzale, że się naszemu statkowi przydarzyło coś strasznego. Przeniknął mnie lodowaty dreszcz i padłem bez zmysłów.

Marynarze nie zwrócili na mnie uwagi, ktoś inny zajął moje miejsce, a sądząc, że umarłem, odsunął mnie nogą na bok. Po długim dopiero czasie odzyskałem przytomność.

Mimo pompowania woda podnosiła się coraz wyżej. Burza zelżała co prawda trochę, ale jasne było już, że okręt nie utrzyma się długo na powierzchni. Kapitan kazał dawać strzały, skutkiem czego stojący opodal na kotwicy statek wysłał nam łódź ratunkową. Dzielna jej załoga położyła na szali życie, by dotrzeć do nas po wzburzonych falach, ponieważ się jednak okazało niemożliwe przybicie do boku okrętu, rzuciliśmy z wielkim trudem linę i przyciągnęliśmy łódź pod rufę, czyli tylną część statku. Potem z wielkim niebezpieczeństwem spuściliśmy się na dół. Trudno było nawet myśleć o przepłynięciu na statek przy takim stanie morza, przeto postanowiono wpędzić łódź na mieliznę. Kapitan przybiecał załodze pełne odszkodowanie na wypadek, gdyby łódź odniosła jakieś uszkodzenie.

W kwadrans zaledwie po wejściu do łodzi ujrzeliśmy, jak nasz piękny okręt idzie na dno.

Zbliżaliśmy się z wolna do lądu i niebawem ujrzeliśmy na wybrzeżu mnóstwo biegających żywo ludzi, którzy usiłowali przyjść nam z pomocą. Znalazła się jednakże osłonięta od wiatru zatoka ułatwiająca wylądowanie i niebawem stopy nasze dotknęły stałego lądu. Ruszyliśmy do Yarmouth i jako biedni rozbitkowie doznaliśmy ze strony władz i ludności jak najżyczliwszego przyjęcia. Dano nam dobre kwatery i nawet zaopatrzone w pieniądze na drogę do Hull lub Londynu.

Cała moja niedola skończyłaby się, gdybym miał rozum i wrócił do Hull, a stamtąd do domu. Ale los mój gnał mnie coraz to dalej, tak żem się nie mógł oprzeć.

Kolega szkolny, syn właściciela okrętu, który mnie skusił do podróży, miał teraz gorszą jeszcze ode mnie minę. Przez dwa dni pobytu w Yarmouth nie widziałem go, gdyż

zakwaterowano nas w innych domach, gdyśmy się jednak spotkali, spojrział na mnie smętnie. Opowiedział swemu ojcu, kim właściwie jestem i wyznał, że tę podróż podjąłem tylko na próbę.

„Młodzieńcze! — powiedział do mnie z wielką powagą właściciel okrętu. — Powinieneś to, co zaszło, uznać za ostrzeżenie oraz wyraźny znak Opatrzności i wyrzec się na zawsze zawodu żeglarskiego, do czego nie jesteś stworzony”.

„Panie! — spytałem — czyż ta katastrofa skłoni pana do zaprzestania morskich podróży?”

„Ze mną inna sprawa! — powiedział. — Żeglarstwo jest moim zawodem, a więc także obowiązkiem. Ty jednak, młodzieńcze, podjąłeś jazdę próbną i doznałeś przedsmaku tego, co cię czeka w przyszłości, gdybyś trwał dalej w uporze. Może być nawet, że całe nieszczęście wywołała twoja obecność na pokładzie! Któż jesteś, młodzieńcze, i co cię skierowało na morze?”

Opowiedziałem cały przebieg sprawy.

„Czymże zgrzeszyłem, że mnie Bóg pokarał takim intruzem, takim nieszczęśnikiem na okręcie! — zawołał wysłuchawszy mnie. — Za tysiąc funtów szterlingów nie zgodziłbym się nawet stanąć z tobą, młodzieńcze, na jednym pokładzie!”

Po chwili jednak uspokoił się i zalecił mi, bym wracał do ojca, gdyż najwidoczniej moje skłonności żeglarskie nie podobają się niebu.

„Bądź pewny, młodzieńcze — zakończył — że jeśli nie weźmiesz sobie do serca tego znaku Opatrzności, to, gdziekolwiek się zwrócisz, natrafisz na nieszczęście i rozczarowanie, jak ci to przepowiedział ojciec twój!”

Rozstaliśmy się i już go więcej nie spotkałem. Ale rady, jakich mi udzielił, były daremne.



Mając trochę pieniędzy, pojechałem drogą lądową do Londynu, a przez cały czas wahałem się, czy nie lepiej byłoby wracać do domu.

Uczyniłbym to był jak najchętniej, ale było mi wstyd, zarówno sąsiadów i znajomych, jak też ojca i matki. Tak to bywa z nierozsądnymi. Nie wstydzą się robić źle, a odtrąca ich skrucha, nie mają odwagi zawrócić z błędnej drogi i wyznać swego przewinienia.

Przybywszy do Londynu wyszukałem sobie niebawem okręt, który odpływał ku wybrzeżom Gwinei w Afryce.

Gdybym miał tyle bodaj rozsądku, by przyjąć miejsce prostego marynarza, to pracując usilnie wyuczyłbym się był przynajmniej doskonale zawodu żeglarskiego i doszedł kiedyś do stanowiska sternika albo nawet i kapitana. Ale czując grosz w kieszeni, trwałem dalej w uporze i, grając rolę pana nie tykającego żadnej roboty na pokładzie, nie nauczyłem się też niczego.

Posiadałem wówczas czterdzieści funtów szterlingów, które mi przysłali krewni, uproszeni listem wysłanym z Londynu. Pewny jestem jednak, że większą część tej sumy dostarczyła matka moja.

Idąc za radą właściciela okrętu, człowieka bardzo zacnego, nabyłem za te pieniądze różnych drobiazgów, używanych w handlu zamiennym z murzynami, i notuję tu zaraz, że podróż miała przebieg pomyślny oraz że wróciłem do Londynu z zyskiem trzystu funtów szterlingów w postaci złotego proszku.

Zostałem tedy handlarzem gwinejskim i uprawiałem to przez lat kilka z coraz większym powodzeniem, gdy mnie zaś losy zapędziły do Brazylii, kupiłem tam tanio piękną plantację. Dość długo ciągnąłem z niej niezłe zyski, aż razu pewnego uległem namowie drugiego plantatora i przysposobiłem sobie okręt w celu sprowadzenia z Afryki

niewolników potrzebnych nam do roboty na naszych polach trzciny cukrowej.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*— Robinson jedzie kupować niewolników i rozbija się po raz drugi z okrętem. Cudowne ocalenie. — Pierwsza noc na nieznanym wybrzeżu. — Robinson osiąga wpływ okrętu i buduje tratwę. — Nabiera pewności, że znajduje się na wyspie. — Magazyn zapasów Robinsona.*

Dnia pierwszego września roku Pańskiego 1659 wstąpiłem na pokład okrętu, w ósmą rocznicę dnia, w którym opuściłem w Hull ojca i matkę i lekkomyślnie ruszyłem na oślep w szeroki świat.

Okręt nasz miał sto dwadzieścia ton pojemności, posiadał sześć armat i liczył prócz kapitana, mnie i chłopca kajutowego, czternastu ludzi załogi. Ładunek nasz stanowiły paciorki szklane, muszle, zwierciadła ręczne, noże, nożyczki, siekiery i inne podobne przedmioty bardzo popłatne w handlu z murzynami.

Żeglowaliśmy ku północy wzdłuż wybrzeży Brazylii, potem zaś, osiągnąwszy dziesiąty stopień północnej szerokości, mieliśmy skierować się wprost ku Afryce. Pogoda była piękna, ale upał panował wielki. Dotarwszy do przylądka San Augustino, skierowaliśmy okręt na pełne morze i ląd znikł nam niebawem z oczu. Po dwunastu dniach minęliśmy równik i znaleźliśmy się mniej więcej na siódmym stopniu szerokości północnej, gdy powiało straszliwe tornado, czyli trąba powietrzna i odrzuciło nas daleko z drogi obranej.

Burza nadciągnęła zrazu od południowego wschodu, potem runął wicher od północnego zachodu. Potęgą trąby